

T. 543.573/250

EWA SZELBURG
ZAREMBINA

SZOPKA
ADACHA



260

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

SZOPKA ADACHA



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

T R E Ś Ć

	<i>Str.</i>
Wstęp	3
Pasterka	5
Chrzest	10
Kot	17
Człowiek z małpą	26
O złej macosze	35
Moskal	40
Sadownicy	46
Cygański królewicz	54
Szopka Adacha	65

I. 542 573 / 250



W S T Ę P

Ewa Szelburg Zarembina urodziła się dnia 10 kwietnia 1899 r. z matki Elżbiety Kałużyńskiej i ojca Antoniego Szelburga, ogrodnika - pszczelarza. Lata dzieciinne spędziła w Nałęczowie, szkołę średnią ukończyła w Lublinie, gdzie brała też żywy udział w tajnych organizacjach niepodległościowych młodzieży oraz w harcerstwie. Bezpośrednio po ukończeniu gimnazjum pracuje jako nauczycielka w szkole powszechnej, po czym wyjeżdża na dalsze studia do Krakowa, gdzie zapisuje się na wydział filozoficzny.

Są to jednak czasy gorących walk. Młodej dziewczynie nie wystarcza praca na terenie organizacji akademickich, wyjeżdża przeto jako sanitariuszka do szpitala wojskowego w Rzeszowie, później w Przemyślu. Po powrocie kończy studia uniwersyteckie i pracuje następnie w redakcjach pism ludowych. Wreszcie postanawia zająć się całkowicie tym, co ją pociągało od dzieciństwa — pisanem.

Początkowo pisze prawie wyłącznie dla dzieci. W literaturze dla młodzieży stwarza swój własny odrębny styl, ukazując młodocianym czytelnikom bohaterstwo codziennej pracy, przekształcającej świat. Twórczość dla dzieci nie wystarcza jednak pisarce. Nie przerywając jej rozpoczyna pisać dla dorosłych. Od r. 1925 ukazują się kolejno następujące utwory: Ta, której nie było, Polne grusze,

Dokąd?, Dziewczyna z zimorodkiem, Chusta św. Weroniki, dwa dramaty: Ecce homo, Sygnały, tom reportaży: Krzyże z papieru, wreszcie dwie części powieściowego cyklu Matka Judasza: Wędrówka Joanny i Ludzie z wosku.

Naczelnym motywem twórczości Zarembiny to poszukiwanie w życiu wielkości. Dlatego też mimo stwierdzenia w świecie cierpienia i krzywdy nie ma w twórczości Zarembiny pesymizmu, jest tylko zrozumienie oczyszczającej roli bólu. Tylko przez walkę hartuje się dusza ludzka, poszukująca prawdy. Prawda najwyższa zostaje odkryta przez dostrzeżenie pod powierzchnią przemijających, codziennych zdarzeń nurtu wieczności, której źródłem jest Bóg. Religijność Zarembiny nie pociąga za sobą mistycznego oddalenia od ziemi i jej spraw. Dla autorki Wędrówki Joanny życie to nieustannie stające się przymierze Boga z Człowiekiem. Z takiego spojrzenia na świat wynika również humanitaryzm Zarembiny. Ale humanitaryzm ten to nie liść dla pokrzywdzonych, lecz solidarność z walczącym o nowe życie Człowiekiem.

Artystyczna forma utworów Zarembiny harmonizuje całkowicie z ich treścią. Dla najbardziej osobistych wzruszeń umie autorka znaleźć epicki wyraz — surowej prawdzie o życiu odpowiada wolna od pospolitości prostota słowa, prostota obrazów. Realizm tych obrazów jest jednak swoistego rodzaju. Oglądamy w nich jak w magicznym zwierciadle rzeczy wymykające się ludzkim zmysłom, a przecież jedynie istotne, wieczyste, nieprzemijające.

PASTERKA

Ogrodnikowa Joanna Gozdawina stała w ganku. Mrużyła oczy od blasku i oddychała głęboko czystym, zimnym zapachem świeżo spadłego śniegu. Rękawy miała zakasane powyżej łokci, ręce mokre: robiła w mieszkaniu przedświąteczne porządki.

Ze wszystkich kominów podnosiły się w niebo obfite, tłuste dymy. Ze wszystkich uchylonych drzwi buchających w mróz kłębam ciepła wydobywał się na dwór sytny zapach smażonego oleju i rozchodził się ciężko, powoli w przejrzystym powietrzu.

Aż tutaj do ganku dolatywało pośpieszne stukanie siekaczy, skrzybot noży, miarowy huk tłuczków w moździerzach.

Joanna w porę przypomniała sobie, że zbrakło jej cukrowej mączki do wigilijnych racuchów. Nie miała nikogo na posyłki, obciągnęła więc rękawy, przyglądała włosy, narzuciła na siebie cie-

płą wełnianą chustkę i pobiegła czym prędzej do sklepu.

Spostrzegła, że biegnie nie sama. Droga, którą zdążała, roiła się od dzieci.

Małe i jeszcze mniejsze, okutane w obszerne matczyne kaftany, w ojcowe do pięt kurty, obute na bose nogi w dziurawe siedmiomilowe chodaki, wypchane słomą wyłazającą im z tych dziur ościorami, że stapały jak na kolczastych, żółtych jeżach, dzieci te, wypchnięte niewidocznym szturchańcem, wyskakiwały gwałtownie z rozwartych drzwi... zbiegały po śliskich schodkach... przemykały wąskimi uliczkami przekopanymi w głębokim śniegu między ścianami domostw... dreptały jeszcze węższymi przejściami pod parkanem zasypanym śniegiem i dostawszy się do drogi potykały się o wytarte w śniegu śliskie koleiny.

Pędząc co tchu przed siebie prześcigały Joannę. Za nimi, popędzając, biegły ostre, napominające krzyki matek szykujących wieczerze i bojących się spóźnić z posiłkiem, i — twarde pogrozy ojców.

Dzieci mijały Joannę z obu stron. Jedne pędziły dopiero z domów do sklepu, inne wracały objuczone już ze sklepu do domów.

Joanna zrównała się z małą dziewczynką. Okręcona w pośpiechu zbyt dużą chuścina, przydeptywała ją co kilka kroków, nie śmiejąc zatrzymać się i poprawić. Rączki miała ciemno niebieskie, palce martwo białe z wysiłku i z zimna. Dźwigała w jednej rączce koszyk z wystającą z niego brunatną torbą cukru, bochenkiem jasne-

go chleba i kilkoma śledziami, zawiniętymi w grubym niebieskim papierze. W drugiej — niosła za mokry sznurek butelkę z naftą. Butelka podskakiwała, nafta oblewała ją i wychlapywała się z niej na ziemię. Dziecko spróbowało przełożyć ciężary z ręki do ręki i wtedy to z płytkiej kieszeni fartuszka wypadło na śnieg małe, czerwone, mocno przemrożone jabłko.

Dziecko stanęło jak wryte, ale nie mogło się bezpiecznie schylić, aby podnieść zgubę. Schyliła się Joanna.

Przez krótką chwilę, gdy trzymała w palcach jabłko, poczuła się niewiele starszą od tej, dziewczynki, idącej samotnie całe cztery mile z domu macochy do nieznanych wujostwa, do Palikij. Niosła wtedy w węzełku ukryte troskliwie dwa jabłka.

— Na, masz — rzekła teraz do małej wsuwając pomarszczone jabłuszko do kieszonki jej fartuszka i pocałowała ją w zziębnięty policzek.

Zawstydziły się obie, kobieta i dziecko, i prędko rozeszły się w przeciwnie strony.

Gdy Kaj Gozdawa wszedł do mieszkania, stół był już nakryty i zastawiony. Joanna w odświętnej sukience, różowa ze zmęczenia, rozsypywała ostatnią garść słomy pod stołem. Stanęli poważnie przy oknie i w milczeniu wypatrywali pierwszej gwiazdy.

— — — — —
W kościele na wzgórzu za rzeką rozpoczynała się Msza Pastorska.

Kaj z Joanną z trudem dotarli do kropielnicy wykutej w kamieniu.

Wysoko sklepiony kościół był już pełen gorejących świec, ludzi i strzelistych świerków. Pachniało kadzidło, воск, kożuchy i żywica. Na stopniach pod jarzącym ołtarzem stały małe jasła z wiązką siana.

Joanna związana ramionami z rozmodlonym tłumem, plecami i piersiami w tłum wrośnięta, zwróciła się z trudem w stronę, w którą zwrócone były wszystkie oczy: ku drzwiom zakrystii, gdzie lada chwila miał się pojawić proboszcz nowoprzybyły do parafii.

Przy drzwiach tych ozwał się właśnie przenikliwy dzwonek szarpnięty ręką ministranta. Tłum na kościele już giął się w pokłonie, gdy oto zamiast księdza z zakrytym kielichem w rękach, ze drzwi zakrystii wyszły — dzieci.

Zdumieli się ludzie.

Dzieci szły parami. W za wielkich chodakach, w spadających z nóg buciętach. Na łątanych kacabajach, na wytartych kusych sukieneczynach miały sztywno nakrochmalone, białe jak śnieg, komeżki. Zielone wianki na cienkich warkoczykach, na nierówno strzyżonych czuprynach.

Dzieci nie widziały rodziców rozstępujących się przed nimi w świątobliwym zdumieniu. Szły całe wpatrzone poza siebie, na koniec korowodu: tam dwoje najmłodszych niosło ostrożnie na białej pieluszce błogosławiące rozłożonymi rączkami święte dzieciątko Jezus w porcelanowej, gwiazdzistej sukience.

Dzieci ze swoim radosnym ciężarem obeszły

uroczyście cały kościół, a gdzie stąpiły, tam ludzie w ciżbie padali na kolana.

Wśród szlochu bijących się w piersi matek, wśród wzdychań padających krzyżem ojców, procesja dzieci doszła do wielkiego ołtarza i zatrzymała się u pustych jaseł.

Tu, w żłobie na sianie własnymi rękami złożyły dzieci równego sobie Nowonarodzonego.

Teraz dopiero wyszedł ksiądz ze Mszą Świętą. Zagrały organy:

„Anioł pasterzom mówił,

Chrystus nam się narodził

W Betleem nie bardzo podłym mieście...”

Joanna zalana łzami klęczała na kamiennej posadzce wśród matek, które w osłupieniu wpatrywały się szeroko otwartymi oczami w mizerne, posiniaczone twarze dzieci, odmienione teraz i pełne anielskiego blasku.

...Umilkły organy.

W ołtarzu świecę po świecy gasi blaszane gasidło. Cienkie smużki dymu wzlatują pod szarżący strop kościoła. Wychodzą ludzie ze świątyni Pańskiej. Ojcowie i matki niosą w ramionach senne swoje dzieci. Z nagłą troskliwością obejmują te drobne, dziś jeszcze poszturgiwane, popychane ciała. Z nabożną pokorą całują grubymi wargami odmrożone rączki.

I gdy mijają Joannę, Joanna widzi, iż każdy z niosących dziecko stąpa tak ostrożnie, jak gdyby niósł na rękach samego Jezusa.

CHRZEST

Na cienko rozpostartym wiechetku wilgotnej słomy klęczało pod kościelnym murem dwoje ludzi. Za tymi ludźmi, oparte o mur, stały dwa kostury — znak, iż byli w drodze. Z pochyłych bark mężczyzny zwisały chude płóciennie sakwy, przed kobietą stała w lodowym dołku mała drewniana miska, na dnie miski świecił wytarty miedziany trojak. Oboje mieli głowy jednako schylone ku ziemi i ręce skrzyżowane na piersiach przysłoniętych łachmanami.

Joanna przyjrzała im się w nagłej radości. Zaste byli to ci, którzy „nie mieli złota, ani srebra, ani dwóch sukien, ani butów”... Więc rozluźniła ciasny uścisk, w którym aż do tej chwili trwożnie zamykała nieochrzczone dziecko. Z dzieckiem w ramionach schyliła się nisko przed tymi dwojgiem najnędzniejszych. Rzekła z pokorą w głosie:

— Ludzie boży, was proszę, abyście wyrzekli się szatana w imieniu tego dziecka i w jego imieniu wyznali wiarę świętą.

Co rzekłszy, poszła wolno przodem do zakrystii. Kaj półgłosem tłumaczył krótko obojgu żebrakom:

— Matka dziecka bardzo sobie tego życzy. Dziecko jest pierworodne, więc...

Ale dziad proszalny, ogromny, brodaty staruch o szerokiej, wichrami wychłostanej twarzy, rozumiał. Nie potrzebne mu było tłumaczenie. Rzekł, że pamięta dobrze te czasy, gdy takie rzeczy zdarzały się częściej. To przynosiło chrzczonemu dziecku szczęście, zwłaszcza pierworodnemu.

Żebrak zamilkł. Jego towarzyszka, wpatrzona nieruchomo przed siebie blaskimi oczami, zanurzyła obie ręce w sakwę u pasa. Szukała tam czegoś gorliwie. Wyjęła wreszcie długi, wąski skrawek czystego płótna, udarty snadź do owijania ran i odparzeń w drodze:

— Jako krzyżmo — ofiarowała po omacku Joannie.

Kościelny Anasiodło przerwał cichą rozmowę z brackim Zielonką, którą wiedli pod drugą ścianą zakrystii u zakratowanego okna przy okutym skarbczyku, i podszedł do Kaja.

— Kończy się — wskazał namaśloną głową w stronę drzwiczek uchylonych do prezbiterium, skąd dobiegało ciche buczenie organów i pobożnych głosów. — Tylko patrzeć jak ksiądz proboszcz kapę ze siebie zdejmie i stulę fioletową na komżę nałoży. Dwa razy już pytał o was, panie Gozdawa. Więc jakże ze chrztem, bo rodziców chrzestnych nie widzę.

— Oto są — rzekł Kaj.

Skończyło się nabożeństwo. Ludzie odśpiewawszy nieszpory opuścili kościół. Nad spalonymi knotami pogaszonych świec stały w powietrzu cienkie, wysokie dymy. Z ołtarza zsunął się zmięty obrus. Zgniecione papierowe lilie przekrzywiły druciane lodygi w blaszanym wazonie napełnionym piaskiem. Na kamiennej posadzce widniały gęsto ciemne, mokre plamy zlewające się po środku nawy w błotnistą kałużę. Tu i ówdzie pod bocznymi ławkami leżały jeszcze kawałki ścisłego śniegu z wytłoczonymi w nich śladami podkówek. Na opustoszałe mury powracała natychmiast wilgoć i pleśń. Kadzidło wietrzało śpiesznie. Miejsce przebrzmiałych modlitw i stłoczonych oddechów zajęła martwa cisza.

Skąpy orszak szedł przez wyludniony kościół jak przez pustynię. Mijając główny ołtarz przyklękiwano kolejno.

Joanna spojrzała ukradkiem w stronę tabernaculum. Czerwony płomyk wieczystej lampy palił się cicho, równo, czujnie. Ten widomy znak obecności Boga uspokoił ją.

Za sobą usłyszała szept przenoszący się z ust do ust, coraz bliższy. Doszło wreszcie do niej to pytanie:

— Imię? Jakie imię?

Joanna gwałtownie zamknęła oczy. Czekala. Żadne ze znanych imion nie przybyło, aby rozświecić otaczające ją ciemności. Podniosła powoli powieki.

— Niech będzie nazwana imieniem chrzestnej matki — rzekła.

— A więc Salomea?

Joanna opuściła głowę na piersi. Czyż mogła wiedzieć, że ta żebraczka nosi to samo imię, co pyszna bogaczka, dziedziczka z Miegoci...

— Tak, Salomea — potwierdziła nie podnosząc głowy.

— Mea — szepnął Kaj.

Żebraczka Salomea wyciągnęła przed siebie szeroko rozwartą rękę i dotknęła nią lekko odzienia Joanny. Bez słowa złożyła Joanna dziecko w jej ramiona.

Teraz tamta szła przodem. Teraz tamta je niosła przez kościół. Kapłan ubrany w smutną fioletową stulę pokuty zbliżał się zwolna do pogańskiego dziecka. Spytał:

— Salomeo, czego żadasz od Kościoła Bożego?

Ta, która poczęła je w grzechu i porodziła w bólach na troski, trudy, na smutek i śmierć, zawahała się — ale matka chrzestna, wyrosła samotnie w cieniu kościelnej kruchty, odpowiedziała głosem pewnym:

— Wiary.

— Co ci daje wiara? — pytał kapłan.

I znowu bez zwłoki odpowiedziała chrzestna matka:

— Żywot wieczny.

...żywot wieczny... Joanna odetchnęła głęboko. Wsparta na ramieniu Kaja słuchała chciwie jak umarłym kościelnym językiem zaklinał kapłan złego ducha, aby odstąpił od dziecka. Joanna



nie rozumiała tych słów, ale drżała przed ich potęgą i bała się ich bojaźnią wielką, jak gdyby sama była obca temu, co się tu teraz działo, jak gdyby była w tajnej choć nieumyślnej zмовie z kimś, kto nie był z tych ludzi.

Ale oto ujrzała coś, czego moc знаła dobrze: Szafarz chrztu wziął w palce szczyptę soli i posolił nią usta dziecka. Sól była poświęcona, ale to była ta sama sól, którą po domach tu, w dolinie koło kościoła i tam, daleko stąd, w leśnym Podgaju, w Wężownie i w Przysusze stawiano w glinianych skorupkach u wezgłowi niemowląt, aby ich strzegła mocą swoją ukrytą i tajemną, mocą ognistą, piekącą i wypalającą, przed wszystkim co psuje serce, co rzuca się zgnilizną na dusze, co toczy chorobą ciało i w śmierć je rozkłada. A także — aby przyczyniała strzeżonemu mądrości oraz bogactwa, ona, która sama jest obfitością.

Kapłan powtórnie zaklął złego ducha, po czym położył koniec stuły na dziecko na znak, iż oblubienica Chrystusa, Kościół Święty, bierze je teraz, rozwiązane z więzów szatana, pod swoją opiekę.

Prowadził je zwolna ku chrzcielnicy.

Kaj i Joanna postępowali w milczeniu za niosącymi dziecko chrzestnymi rodzicami. Ci w imieniu spowiniętego w pieluchy niemowlęcia odmawiali głośno i gorliwie Credo.

Chrzcielnica była wielka, wykuta w jednolitym kamieniu. Ciemna tafla święconej wody połyskiwała łagodnie w drżącym świetle woskowej świecy, trzymanej sztywno przez kościelnego chłopca.

— Ephpheta — rzekł kapłan i namazał własną śliną uszy i nos niemowlęcia.

Joanna drgnęła. W tej chwili otwarł się w dziecku słuch na słuchanie prawd nadprzyrodzonych i węch na węszenie woni cnót chrześcijańskich.

— Odrzekasz się ducha złego? — spytał kapłan niemowlę.

— Odrzekam — odpowiedziała żebraczka za córkę Joanny i Kaja.

— I wszystkich spraw jego?

— Odrzekam.

— I wszelkiej pychy jego?

Joanna mocniej oparła się o niewzruszone ramię Kaja. Kościelny Anasiodło trzymał oburącz posrebrzaną tacę. Na tacy stały naczynka z olejami. Teraz Joanna musiała podejść, ażeby pomóc tamtej kobiecie obnażyć i obrócić dziecko do namaszczenia.

Stało się.

Kapłan zmienił pokutną stulę na radosną, białą, gdyż łaska boska unosiła się już nad dzieckiem, żeby wkrótce spłynąć do jego małej duszy.

— Salomeo, ja ciebie chrzczę...

Na nagą główkę dziecka spłynęła woda chrzcielna z ampułki i ściekła na szybko podstawioną tacę.

Ktoś wyjął z ręki Joanny biały skrawek płótna i rozpostarł go na dziecku... ktoś inny przez omyłkę wsunął w rękę jej zamiast chrzestnej matce zapaloną świecę.

— Pax tecum — rzekł ksiądz rozdziewając się z szat liturgicznych.

Obrzęd chrztu był skończony.

Gdy wyszli z nowoochrzczonym dzieckiem z kościoła pogodny księżyc do połowy wynurzony z nieba świecił jak melchizedech.

K O T

Joanna rzekła nieśmiało do męża:

— Mam kłopot z Salomeą. Niedobrze, że dziecko wciąż siedzi w mieszkaniu albo przy domu. A samej nie mogę jej daleko puszczać...

— Dobrze, będę z nią wychodził co dzień — i Kaj położył na szorstkich rękach żony swoją dłoń, z której podczas choroby dawno już zeszła gruba, narobiona skóra.

Z wieczora sprawdziwszy pogodę na gwiazdach sam przygotował sobie starą czapkę, nowo sprawione przez Joannę obuwie z gumowymi bokami, laskę.

Obudził się na długo przed świtem.

Joanna, która zwykle wstawiała o tej porze, pomogła mu wzuć kamasze, przyniosła do łóżka ubranie. Mea z nosem w poduszce spała cichutko jak kamyk w wodzie. Kaj ubrał się i obudził dziecko wesołą obietnicą:

— Jeśli wyskoczysz od razu obiema nogami z łóżka, pokażę ci coś, czego jeszcze nie widziałaś!

Na czesanie, na mycie nie było już czasu. W niezapiętej sukience narzuconej na koszulę, w trzewiczkach na przyboś, wyszła małeńka Salomea za ojcem.

Na dworze było jeszcze szaro. Zaraz za progiem — chłód. Malutka drzemała na posuwających się samodzielnie nóżkach.

— Nie śpij, potkniesz się — przestrzegł Kaj.

Na jego głos spróbowała podnieść przez siłę ciepłe, lepkie od resztek snu powieki. Ale gdy je podniosła, także nic nie widziała. Wziął ją za rączkę. Prowadził. Po kamieniach, po korzeniach stukał lekko laską.

— Musimy iść prędzej, jeśli mamy zdążyć. Wyciągaj, wyciągaj nogi. Raz — dwa, jak ja! Raz — dwa, jak ja!

Rozruszała się Mea. Przestało jej być zimno. Przestało jej być sennie. Kichnęła. Rozejrzała się.

Szli we dwoje, a drzewa wkoło nich stały wszystkie nieruchome, jakby uszło życie z konarów, gałęzi, gałązek.

— Śpią? — wskazało porozumiewawczo dziecko.

— Śpią — przyświadczył Kaj.

Pnie drzew były całe mokre. Liście obciążone rosą. Gęsta trawa pod drzewami tryskała wodą. Woda stała w szerokich włochatych misach łopianu i wylewała się na zdarte noski trącających ją trzewiczków. Trzewiczki namokły i rozmiękły: palce dziecka poruszały się teraz żwawo we wnętrzu oślizgłego rzemienia.

— Chodźże, chodź! — przynaglał Kaj.

Mea radośnie zdziwiona, podniecona, przesuwała języczkiem po zimnych, wilgotnych wargach, sięgała z wysiłkiem jego śpiczastym koniuszkiem brody, nozdry, policzków. Pierwszy raz smakowała tak swoją skórę przesiąkniętą smakiem powietrza, rosy i zieleni.

Przystanął Kaj, przysiadł na białej w ziemię łasce, odchylił do tyłu bolący grzbiet i kark zesztynniały, podniósł schyloną głowę, popatrzył uważnie po zjaśniających wierzchołkach drzew: wierzchołki ożyły. Poruszały się lekko, leciuteńko tam i sam, tam i sam...

Popatrzył po niebie: nad obudzonymi wierzchołkami niebo jaśniało z każdą chwilą więcej — różowiało.

— Już się rozpoczyna — rzekł do Mei. — Znad wąwozów będzie lepiej widać! Chodź!

Szli z takim pośpiechem, na jakie stać było krótkie nóżki Mei i osłabione w kolanach nogi Kaja. Posuwali się więc żmudnie i wytrwale ze ścieżki na ścieżkę. Z alei w aleję wchodzili. Miłali głucho ściany domów z pozamykanymi szczelnie drzwiami i oknami. Nagle nad jednym z dachów powiała z komina drżąca, błękitna mgiełka... Mea zaruszała pręciutko chrapkami, mlasnęła językiem — cały świat dokoła zapachniał zdrowo dymem.

Jeszcze kilkanaście kroków z góry. Jeszcze kilkadziesiąt pod górę i Kaj z Meą są już w szczyrym polu na urwisku ponad wąwozami. Wyszli akurat przy kopcu granicznym. Tu usiedli.

— Patrz teraz — mówi Kaj do Mei — Patrz! — nie do dziecka już, do siebie. Zdjął z głowy czapkę, odrzucił ją na bok, w trawy. Poniechał laski.

Rozsypały mu się jasne, leszczynowe włosy po skroniach, po czole. Odgarnął je dawnym szerokim ruchem całej dłoni. Twarz mu pojaśniała. Oczy błyszczą. Gną się wargi w uśmiechu pod wąsem.

Skulona, z brodą w podniesionych kolanach, z palcami zaciśniętymi na gołych, zaczerwienionych kostkach nóg, siedzi Mea — i patrzy przed siebie bez tchu, urzeczona.

Przed tymi dwojgiem rodzi się oto z nocy — dzień: na wprost urwiska, po tamtej stronie nieba wschodzi właśnie słońce.

...Jeszcze jeden raz w swym życiu ogląda Kaj tę świętą chwilę. Po raz pierwszy widzi ją w całym majestacie mała Salomea.

Salomea. Ta nierozumna kruszyna ludzka, upłątana po czubek głowy w zroszone trawy, do wilgotnych grud ziemi przylgnięta zadkiem i piętami, czuje całą sobą wstrząsającą światem walkę ciemności i światła.

Oto w porażającym milczeniu tryskając z mlecznego łona nieba wrzące strumienie ognistych barw przelatują wszystkie olbrzymimi błyskawicami przez wątłe ciało Mei.

Dziewczynka wstrząsa się konwulsyjnie. Małe serce gwałtownie kurczy się i rozdyma, kurczy i rozdyma w drobnej klatce kosteczek. Nieznana jej dotąd nagła, dzika chęć — siła wali w nim! Wali! Przeląła się z serca do płuc, z płuc pcha się

do małego gardła. Rozdarła zaciśnięte szczęki i oto dziecko zerwawszy się z ziemi spręży się, wyciąga nad siebie rozrzucone ręce i z krtani wyrzuca w górę krzyk przenikliwy, namiętny, ostry, przezywający ciszę:

— Iiiii!

Kaj patrzy w olśnieniu, w zdumieniu, z trwogą, w przemienioną na jego oczach małą Salomeę.

Słucha wstrząśnięty — jeszcze echo dziko biegnie polem... Słyszy bezradny — już cichsze nawraca.

Czuje z ulgą: dziecko-żywiolak przypadło mu do ramienia... strwożone samą sobą, wciska głowę pod jego ramię.

— No, no — mówi Kaj, nie wiedząc co powiedzieć! — No, no — i otarł krople potu, jakie mu wyszły na czoło. — No, no — powtórzył raz jeszcze stropiony, zakłopotany. Krew pulsująca głośno w skroniach i stary srebrny zegarek w kieszonce kamizelki odmierzają niezliczone sekundy. Nareszcie ukradkiem, bacznie, spogląda Kaj na Salomeę: dziewczynka jak gdyby nigdy nic, skubie oto zielone liście szczawiu i pcha do ust.

Kaj wdzięczny jej za to, że znowu jest taka, dziwi się, ale już wesoło:

— Co ty robisz?

A Mea wzrusza ramionkami i z buzią wypchną zielskiem:

— Jem!

— Na czczo? taki kwas! — gderze uszczęśliwiony Kaj. — Przecież ja mam tu śniadania dla nas od Joanny — szuka po kieszeniach. Znajdu-

je i wyciąga chleb, ser. Grubą kromkę chleba rozłamuje na dwie części, zuchelek obsuszonego sera oddaje cały Mei.

— Masz, a gryź dobrze.

Jedzą.

Mea dmucha okruszynami w stronę krzaków, gdzie płochliwy raniuszek to różowe boczki, to białe podgardle wystawia do słońca, piórka z nocy suszy.

A słońce, ani się Kaj zdążył przeżegnać, wyszło już nad pole na pół chłopca: jasny dzień. Po-wszedni, roboczy.

Rozśpiewały się ptaki. Rozbrzęczały owady. Szumi rost zbóż — tylko uszu nakłonić!

Bielejąc rękawami, idą miedzą ode wsi gęsim sznurem kosiarze. Stanęli. Wzięli słońce na kosy. Zamachnęli się zgodnie, jakby jednym ramieniem.

Zacisnął Kaj ręce na gładziźnie laski jak na wyslizganej rękojeści ogrodowej łopaty. Pchnął mocno z ramienia, jakby szerokim ostrzem poru-szyć chciał caliznę, ale... cienki szpikulec kija zgrzytnął przykro o kamień, ugrzązł w ziemi.

Spojrzał Kaj w dół na laskę, na swoje chude, przezroczyste ręce, a potem szeroko, na świat... i zaklął: — Psiakrew!

Dźwignął się Kaj: — Chodź — mówi do Mei, która goni pszczołę. — Zostaw ją w spokoju, ona pracuje. Patrz, ciemna jest, drobniejsza od innych, to cypryjka. Tylko w Miegoci u Żabiny jest jeden rój cypryjek. Więc widzisz: więcej niż cztery wiorsty do tej tu koniczyny leciała. I będzie tak tam i z powrotem latać do wieczora.

— A jutro?

— I jutro. Aż starga skrzydełka. Wtedy nie będzie już mogła więcej pracować. Zembrze. Ale już się tam nowe rodzą w ulu.

Mea chowa za siebie ręce, lecz już po chwili niecierpliwie porusza chwytkimi paluszkami.

— A osa? — pyta. — Jak złapać ją z góry za skrzydła, nie ugryzie — mruczy.

— I osy nie łap. Ona lubi grzać się w słońcu. Jak każdy. I także ma robotę. Widziałaś, jakie śliczne gniazda buduje.

— Wiem. Na strychu. To Sewercia podstawiała worek i oderżnęła, a potem do rzeki! Ja wtedy znalazłam na takiej wysokiej trawie gniazdko i ślepe ptaszki. Dwa. A ty mnie powiedziałaś, że nie ptaszki, tylko myszy — rozżaliła się.

— Przypomnij sobie: miały przecież po cztery nogi i ogonki — usprawiedliwiał się.

— To co? Były ślepe, tak samo. I piszczały, tak samo. I golutkie. I ja bym ich miałabym za swoje.

— No, nie becz — zafrasował się. — Jak już tak samo. I golutkie. I ja bym ich miałabym za

— Jakiego?

— Kanarka chcesz?

Nie wierzyła uszom:

— Żółty?

— Tak.

— Taki, co sam śpiewa?

— Taki.

Aż się zachłysnęła:

— Na zawsze?

— Na zawsze.

— Jutro?

— Tego nie wiem jeszcze. Może. Ale musisz sama o niego dbać, karmić — i zaczęli rozmowę o tym, jak trzeba mieszać kanar, siemię i rzepak, żeby takiemu kanarkowi smakowało.

— — — — —

Przez kilka wieczorów Kaj majstruje coś z patyków i cienkich deseczek.

Pewnego dnia, Joanna na żądanie Kaja wbija duży gwóźdź w mur przy oknie. Na gwoździu zawisa klatka. W klatce jest kanarek. — Po dzwońcu — tak zapewnił kościelny Anasiódło, który go wyhodował. Więc zaczyna swój dzwonny śpiew równo ze słońcem. Nie przestaje śpiewać i przy świetle lampy. Trzeba klatkę zasłaniać czarną chustką, aby umilkł i zasnął.

Kanarek jest Mei. Ona zmienia mu wodę, czyści oba szczelbelki i wysypuje rzeczonym piaskiem spód klatki. Biega aż za dworskie obory po zielony muchotrzew i przy drogach zrywa przekwitłe, brunatne babki. Oddaje mu też własną marchew, wyjętą z zupy. Robi to troskliwie, ale bez spodziewanego zapachu. Bo okazało się, że co innego jest ptak, który przebywa na wysokościach okna i tylko śpiewa, a co innego na przykład pies, albo kot.

Psa mają dzieci u Serafinów. Kota także. Ach, kot! — Gdyby go mieć swojego! — myśli Mea. Kot jest zawsze czysty, więc nie zdeptałby podłogi, którą Joanna co sobotę szoruje na kolanach. Można by się z nim pobawić. Głaskać go i całować, i tulić.

I rozmawiać by z nim można po całych dniach. Rozumiałby. Na pewno!

Jednego wieczoru wracała Mea od Serafinów, którym odnosiła w garnuszkach pożyczoną sól.

Szła sama, drogą pod topolami. Nagle tuż przy jej lewej nodze zaczął iść — kot. Taki sobie, łaciaty, nieduży kot. Kociak właściwie.

I nie idzie — raczej biegnie. Jak może przebiera drobnymi łapkami, żeby nadążyć! Po prostu leci za Meą uparcie i wytrwale, jak pies. Ani na krok od niej nie odstępował.

Nie przystając ani zwalniając kroku przygląda mu się Mea z góry: grzbiecik wąski, kosteczkami zębato najeżony, żeberka widać jak się ruszają przez skórę, szyja cieniutka ledwo dźwiga ciężki, kołyszący się w galopie łebek.

— Co robić z takim kotem bezdomnym, bezpańskim? Wziąć go do domu i niech już będzie u nas na zawsze — myśli Mea dochodząc do ganku. Serce jej bije.

— Wziąć go i niech już będzie nasz.

Kot, stopień po stopniu, wchodzi razem z Meą na schody. Idzie blisko, bliziotko, przy samej jej nodze.

„Nie ma miejsca u nas na żadne psy, koty” przypomina sobie Mea w porę słowa Joanny. „Dostyc jednego kanarka. Też kosztuje”. Stała Mea ze spuszczoną głową przed zamkniętymi drzwiami. Kot stanął także.

Gdy tak stoi z wyciągniętym prosto ogonem, z przekrzywioną trochę głową, widać wyraźnie, że jest jeszcze chudszy niż był na drodze.

— Czekał tu — mówi Mea i wchodzi do mieszkania.

— Mamusiu, czy ja mogę wziąć sobie mleka na spodeczek?

Joanna zajęta robotą, odpowiada nie podnosząc głowy: — Weź! Ale jak weźmiesz teraz, nie będziesz miała potem do herbaty.

Mea wyszukuje w dole szafki najgłębszy spodeczek, wlewa mleko z kubka i na palcach nie zamykając skrzypiących drzwi wychodzi.

Kot stoi wciąż przed drzwiami. Czeka na nią. Więc ona przyklęka i stawia przed nim ten spodek:

— Pij!

Boże, jak on pił!

Dziecko ze łzami w oczach przykucnęło po drugiej stronie spodka.

...Kasłał, krztusił się w dzikim pośpiechu wysuwając język aż do korzenia, stukał nosem i zębami w szkło. Aż nareszcie zapadnięty brzuch wzdał się i zaciążył między łapkami.

Spodek był suchy.

Kociak sapnął, oblizał nos, oblizał kapkę na brodzie i rozweselonymi ślepkami popatrzył poufale na Meę.

— Teraz już idź — powiedziała Mea.

Słyszał. Ale się nie ruszył. Patrzy na Meę wciąż tymi ślicznymi ślepkami.

— Idź już sobie — powtarza Mea połykając duszące ją łzy. — My ciebie nie możemy trzymać! — już jest kanarek. I on kosztuje.

Ale kociak przysuwa się do kolan Mei. Wdzięcznym, pieszczotliwym ruchem ociera się

o nią. Szorstkim wilgotnym językiem dotyka jej ręki. Drobnymi pazurkami chwyta żartobliwie za brzeżek rękawa. Jego przezroczyste, jasne oczy patrzą z kosmatej mordki z ogromną ufnością w bezradne oczy dziecka.

Mea wie, że musi odepchnąć tę ufność! Bez-
wiednie załamuje palce ruchem starej kobiety.

— Jak mu to wytłumaczyć? Jak?

Najlepiej... Przestraszyć go trzeba!

— Ja jestem zła — mówi do kota i wykrzy-
wia się srogo. — Patrz, widzisz, jaka ja jestem zła!

Miauknął. Myśli, że to zbytki. Chwyta obiema
łapkami koniuszek warkoczyka Mei. Ciągnie.

Mea z całych sił zaciska załamane, bolące pal-
ce...

Nagle—powoli, powoli podnosi opierającą się,
dygocącą rękę i... patrząc prosto w oczy kociako-
wi — uderzyła go.

CZŁOWIEK Z MAŁPĄ

Mea bardzo ceni pieniądze, jeśli są nowiutkie. Ale i stare miedziane grosze dają się odnowić. Gdy trze się je pilnie piaskiem i tłuczoną cegłą robią się złote i błyszczące.

Na stoliczku przy drzwiach stoi tekturowe pudełeczko po proszkach Kaja. W pudełeczku tym mieszkają nowe i odnowione przez Meę złote grosiki. Czasem jest ich rano trzy, czasem aż pięć! Wieczorem pudełeczko bywa zawsze puste.

I nie może być inaczej.

Nie wiadomo skąd się bierze, ale jak już jest koło ganku, to zawsze staje na pierwszym schodzie — dziad.

Ma długą, albo krótką, białozółtą brodę, białe płócienne sakwy, jedną na piersiach, a drugą na plecach i w ręku kij sękaty obity na końcu kolącą skórą z jeża.

Opiera się na tym kiju, podnosi do góry głowę i zamknawszy oczy zaczyna śpiewać z całej mocy:

— *Oto chleb anielskiej siły!
Dał go pielgrzymom Pan miły!
Psom rzucać jego nie trzeba...*

Na najwyższym schodzie, Mea z groszem wychyszczonym cegłą czeka uważnie końca pieśni.

Czasami brodaty śpiewak zadyszy się i milknie nagle, ale ona cierpliwie nie rusza się z miejsca, wie dobrze, jaki jest prawdziwy koniec każdej pieśni, czy to będzie:

— *Niebiosa roś spuszczajcie z góry,
Sprawiedliwego wylejcie na chmury...*

czy:

— *niech dobry Jezu, szczodry pelikanie,
mnie się biednemu krew Twa łaźnią stanie...*

Są przecież tacy, którzy się obrażają, jeśli nie doczekać z groszem do końca.

Dopiero wtedy schodzi Mea ze schodów, daje co ma dać i mówi wyjaśniająco:

— Za dusze zmarłe.

Dziad przyświadcza brodą i razem we dwoje pilnując się, aby nie za prędko, odmawiają głośno „wieczne im odpoczywanie“.

Także nie wiadomo skąd się bierze, ale jak już stanie koło ganku, to wchodzi prosto po schodach do samej sieni — babka.

Jaka by nie była, ma zawsze małą chusteczkę na głowie, a na tej chusteczce jeszcze dużą chustkę. W fałdach spódnicy dużo kieszeni i dużo małych torebek u pasa. W ręku trzyma różaniec, raz taki, raz inny, a zawsze z dużym drewnianym krzyżykiem na sznurku.

Jak stanie w progu oparta plecami o futrynę, zaraz zaczyna pacierz.

Maszyna Joanny terkocze głośno pod oknem i Mea słuchając bacznie zauważa, że babka w tym terkocie opuszcza słowa pacierza.

Gdy jednak skończy i dostanie grosz za wszystkie dusze zmarłe, dodaje zawsze od siebie westchnienie do Przemienienia, albo na Intencję, albo do świętego Antoniego. Czasami nie odchodzi zaraz, ale zapytuje Joannę, czy nie kupi od niej jajek, które ma w torbeczce?

I Joanna nieraz kupuje za takie same pieniądze, jak w sklepie, choć jajka nie zawsze są akurat potrzebne.

Również niespodziewanie zjawia się jegomość taki lub inny, ale każdy z laseczką, w podartych spodniach, w marynarce zapiętej pod szyję na agrafkę i w pogniecionym meloniku.

Zatrzymuje się o kilka kroków przed ganikiem, ręką, w której trzyma laseczkę, dotyka melonika i podaje Mei brudną i wygniecioną karteczkę brystolu — bilet wizytowy. Wydrukowane jest na nim: „hr. Czarnecki“ lub częściej: „hr. Potocki“.

Jegomość uprzejmym głosem prosi Meę, aby to pokazała „maman“ i dodaje, że chwilowo zmuszony jest potrzebować garnitur, koszuli, albo butów.

Mea stoi zakłopotana, bo wie, że Joanna jegomościom z biletami wizytowymi nie daje nic prócz dużej kromki chleba, której oni zazwyczaj nie biorą, a czasem po prostu rzucają na ziemię.

Jeśli Kaj jest zdrowszy i zamiast leżeć w łóżku za parawanem, siedzi na ganku, uśmiecha się i daje Mei swojego papierosa:

— Zanieś mu tam.

Jegomość w meloniku kiwa łaskawie głową i odchodzi, łakomie zaciągając się dymem.

A Kaj długo jeszcze uśmiecha się. Ci wszyscy ludzie podchodzą do domu małej Salomei niezauważeni. Ale są jeszcze inni, o których wiadomo z daleka, że idą.

Taki stąpa w środku, a przed nim biegną wyrostki i dzieci, i za nim biegną wyrostki i dzieci. A kto jest w domu wygląda przez okno, jeśli dorosły, wybiega poza drzwi — jeśli mały.

On staje przed domem i wszyscy z nim stają. Blisko, ciasno, głowa przy głowie.

On zdejmuje z pleców ciężar, który niesie i wszystkim od razu robi się lekko.

Opiera ciężar - pudło na kiju i przytrzymuje jednym kolaniem — wszyscy przestępują z nogi na nogę.

Pokręcił korbą i z pudła wylatuje skoczna muzyka. Jakże nie podskoczyć? Skaczą wszyscy.

— Ta nyt nyt, nyt - nyt! — gra katarynka.

— Ta nyt nyt, nyt - nyt! — podśpiewują wszyscy.

Na katarynce stoi skrzyneczka, w skrzyneczce - klateczce siedzi żywe zwierzątko w białe, żółte i czarne łatki. Siedzi i patrzy.

Patrzą na nie wszyscy i od tego patrzenia robi się jeszcze weselej.

Czasami zamiast morskiej świnki na katarynce jest ptak zielony — papuga. Wyjmuje dziobem różowe kartki z pudeleczka i podaje dziewczętom.

*„Serce twe jak dom gościnny,
co dzień gość w nim mieszka inny”*

czytają dziewczęta czerwone bardzo i jest tak wesoło, że już nie może być weselej. Dziewczęta chichoczą, papuga wrzeszczy, katarynka gra, a człowiek od katarynki tupie i wykrzykuje niezrozumiałe wyrazy.

Ale raz na katarynce siedziało coś innego: tyle jak malutkie dziecko, całe kosmate, z ciemnymi rączkami, z pomarszczoną twarzyczką.

Katarynka grała skocznie swoje:

Ta nyt, nyt, nyt, ale „to” podniosło wysoko, wysoko cienkie brwi i, zafrasowane, patrzyło w ludzi uważnie smutnymi, złymi oczkami.

Nikt się nie śmiał.

— Tfu! ta małpa zupełnie jak człowiek — powiedział rymarski chłopiec od Serafinów i odsunął się trochę.

Wszyscy się trochę odsunęli.

Ale człowiek z katarynką rozkazał małpie zejść na ziemię dał jej do rąk laseczkę i powiedział:

— Ukaż, jak stara baba wodu nosi. —

I małpa zgiąwszy się pod cieniutką laseczką jak baba pod nosidłem obeszła kołysząc biodrami dokoła katarynki.

Buchnęły śmiechy. W nadstawiony kapelusz posypały się miedziaki.

Mea już dawno rzuciła swój grosz. Ale przepycha się bliżej, przepycha się zupełnie blisko... Z dołu podnosi się ku niej pomarszczone czoło i patrzą na nią spod zjeżonych włosów bystro, natrętnie, małe gniewne oczy zwierzęcia pełne człowieczego smutku.

Mea ma na ręku lalkę w fałdzistej włóczkowej pelerynce.

Człowiek z katarynką, który zabierał się już w dalszą drogę, zatrzymał się nagle. Chuda, spalona jego twarz, rozjaśniła się:

— Jakże pięknie byłoby małpce w tej pelerynce. Jakże pięknie i jakże ciepło! bo noce tutaj są zimne i dnie także często są zimne. Jeśli zaziębi się — zdechnie. A tak, za tę pelerynkę małpka zatańczy jeszcze i poskacze, pokaże drugi raz „jak baba wodę nosi”. Za tę jedną maleńką, ciepłą pelerynkę...

I ten człowiek wyciąga do Mei rękę i ta małpka wyciąga do Mei chudą, zimną rączkę...

Wszyscy patrzą na Meę i czekają:

— Da czy nie da?

Wszyscy na Meę patrzą. Więc Mea robi się czerwona i szybko cofa się za plecy ludzi.

Człowiek z małpką nie prosi już więcej. Odchodzi. Ale małpka raz jeszcze ogląda się na Meę. Jest zmarszczona jak staruszka i dygoce.

Mea odwraca oczy.

Zaraz zajdzie słońce i robi się chłodno. Mea ze spuszczoną głową stoi w ganku.

Ściemnia się. Powiał wiatr. Mea nagle podnosi

głowę i biegnie w tę stronę, w którą odszedł tamten.

— Panie człowieku z malpką! Panie człowieku! — woła przed siebie w ciemność!

Ale droga jest pusta.

Mea biegnie wciąż, biegnie ostatkiem sił... Wymachuje malutką włóczkową pelerynką i woła przez łąki:

— Panie człowieku!...

Już nie ma w ręku pelerynki... Porwał ją wiatr i poniósł gdzieś w pole...

Mimo to Mea biegnie jeszcze...

O ZŁEJ MACOSZE

Mea ma śliczne włosy, gęste bardzo.

Łatwo się płaczą. Joanna dużo czasu poświęca na ich czesanie i dużo trudu ma z tym. Ale gdy mimo to pod jej troskliwymi palcami jakieś delikatne pasmo zbyt ciasno oplecie się dokoła grzebienia i Mea krzywi się do płaczu, Joanna, której wtedy drżą ręce, mówi porywczo do córki:

— Poczekaj, jak dostaniesz macochę, będzie cię czesała bez bólu...

Obie mają w oczach łzy i przerażenie. Na szczęście nie zdarza się to często.

Ale często, bo co niedziela, Mea i Joanna idąc do kościoła przechodzą koło długiego parterowego budynku, przed którego oknami rośnie dziwny krzew, nie spotykany tu nigdzie. Wangelia — o wielkich, gęstych, czerwonych kwiatach.

W budynku tym po lewej stronie jest szereg pokoi w amfiladzie. Wszystkie z białymi firankami u jasnych szklistych okien, z froterowaną złotą posadzką.

Po prawej — są tylko dwie małe izdebki bez szyb, nigdy nie bielone, nigdy nie zamiatane.

W tych pokojach mieszka dziobaty właściciel budynku Dzierzgowski ze swoją drugą żoną i z córeczką Irmą.

W tamtych izdebkach żyją dzieci z nieboszczki żony: mali bliźni bracia, Koźma i Damian, i jeszcze mniejsza siostra, Kamilka.

Dziewczyna ostrzyżona jest przy samej skórze jak chłopcy, żeby się jej wszy w długich włosach nie trzymały. Chłopcy chodzą w fartuchach jak dziewczyna, żeby nie widać było niezaszywanych dziur.

Gdy Joanna z Meą idą do kościoła na mszę, Dzierzgowski ze swoją żoną i z córeczką Irmą idą także.

Irma ma żółte pantofelki myte mlekiem i na lokach, kręconych żelazkiem, wielki biały kapelusz z batystowymi, rurkowanymi falbankami. Za jedną rękę prowadzi ją ojciec w czarnym tużurku, za drugą prowadzi ją matka w kanausowej bordo sukni.

Dzieci nieboszczki nie chodzą z ojcem i z macochą do kościoła, bo są niemyte, nieczesane i nie mają w czym.

Dzieci nieboszczki zostają w domu, bo mają robotę. Ojciec i macocha nie trzymają służących. To dzieci nieboszczki obsługują pokoje i kuchnię. To dzieci nieboszczki usługują ojcu, macosze i przyrodniej siostrze.

Koźma jest słabowity, więc czyści buty, frote-ruje i wynosi w kubłach śmieci i nieczystości. Ale

Damian jest silny—Damian swoimi silnymi, drobnymi rękoma rąbie drzewo i nosi węgiel, i kopie. Obaj mają już po dziesięć lat.

Kamilka ma osiem. Jest o rok tylko starsza od Irmy. Kamilka przepasana powypalaną ścierką gotuje w kuchni. Przystawia sobie stół do komina, aby móc zajrzeć do wysokich garczków.

Żadne z tych trojga nie przebywa na pokojach. Nie wolno — podłoga tam jest froterowana, meble tam są wyściełane, kruche szklane rzeczy na stołach.

W niedzielę po obiedzie, albo czasami w zwykajny dzień, ojciec staje na progu i woła małą Kamilkę z kuchni. Daje jej złotówkę na tabliczkę czekolady dla Irmy i każe się śpieszyć.

Kamilka biegnie do sklepu, aż jej się trzęsie ostrzyżona do skóry głowa. Kiedy wraca, idzie coraz wolniej, coraz wolniej... Żeby nie dojść... Spocnymi plecami ściska z całych sił kolorowy pachnący pakiecik. Zdaje się, że nic nie wydrze z jej rąk upragnionego przysmaku.

Ale na progu domu rozluźniają się brudne, chude palce i Kamilka posłusznie, bez protestu oddaje pakiecik czekającej Irmie.

Irma je. Gęsty, słodki, brunatny sos kapie jej po brodzie.

Kamilka stoi i patrzy.

Ludzie wiedzą o wszystkim.

— Kto dostaje macochę, dostaje też i ojczy-

ma — mówi Joanna.

Mała Salomea słucha ze zgrozą. I Kaj słucha.

Jest blady jak zawsze, ale w takich chwilach robi się jeszcze bledszy.

Aż kiedyś:

— Więc tak. Dzierzgowski sprzedał swoje dzieci — z takimi słowami przyszła z porannych zakupów Joanna. — Tych troje bez matki. I każde komu innemu.

— Jakże to, Joanno? — Kaj sądził, że się prześłyszał.

— Zwyczajnie. Jednego bliźniaka wziął młynarz Trybus.

— Bogaci ludzie, Trybusy. Bezdzielni. Może tam dziecku będzie lepiej — powiedział niepewnie Kaj.

— Zapewne. Wszędzie będzie mu lepiej. Ale gdy go młynarz brał na wóz, chłopak uchwycił się odrzwi i siłą trzeba mu było odrywać palce.

Po drugiego bliźniaka zgłosił się Dyrdoń!

Drgnął Kaj:

— Jakże? Oni sami żyją z żebraniny? Zamorzy dziecko.

— Oczywiście. Ale kiedy włożył na niego swoją sakwę i obaj zabierali się w drogę, chłopak podniósł z ziemi kamień, który leżał na ścieżce...

— I rzucił nim w ojca?

— Nie. Schował płacząc. A Kamilka miała zostać! Ale ją także oddali. Tylko dalej jeszcze. Do Karpina. Właśnie spotkałam go, jak wioził ją bryczkę na kolej.

Kaj usiłował wstać i szukał ręką laski. Na czoło wystąpiła mu gruba, sina żyła. Spod uniesionych, drgających bladych warg błysnęły zęby.

— Nie — powiedziała Joanna objawszy go przez plecy i sadzając — nie, Kaj! To by już nic nie pomogło tamtym trojgu.

...Ale czy to prawda, że Dzierzgowscy ten krzak wangelii przed domem to mają od ciebie? Kaj skinął głową.

— Dobrze. Chciałam na pewno to wiedzieć.

Od tego dnia Joanna i Salomea idąc co niedzielę do kościoła inną chodziły drogą. Ta nie prowadziła koło długiego parterowego domku.

Zresztą nikt nie miał ochoty chodzić tamtędy, odkąd piękny krzak wangelii o wielkich, gęstych, czerwonych kwiatach znikł sprzed murszejącego ganku, a na zaniedbanym trawniku leżała przez nikogo nie uprzątnięta kupa zeschłych gałęzi i obnażonych korzeni.

MOSKAL

Pada deszcz.

Mea łązi z kąta w kąt.

— Przykrzy mi się — powtarza raz po raz.

— To zajmij się czym — radzi Joanna.

Czym można się zająć w szary, zimny dzień, gdy deszcz bezustannie spływa po szybach i napędma do oczu łzy, które nie chcą się przelać przez rzęsy, tylko stoją w oczach i wszystko, co przez nie widać, krzywe jest, ciemne, zamazane.

Mea włożyła na sukienkę serdak, okręciła się po serdaku matczyną chustką i jeszcze jej zimno.

— Połóż się — radzi Joanna — to ci przejdzie.

Ale Mea nie może uleżeć w nogach zaścielnego łóżka, gdy widzi, że deszczowe krople gonią się po szybie, że dym pełznący z komina wpycha się z trudem w mokre, ciężkie powietrze, gdy słyszy, że wiatr dujący u węglów śpieszy tak, że się zadyszał.

— Ja pójdę na dwór.

— Masz tu miód na spodeczku, zrób sobie lepiej bal dla lalek — mówi Joanna.

Mea od razu zeskakuje z łóżka. Odkręca z siebie chustkę, zdejmuje serdak, wyciąga spod stołeczka płasko ułożone figurki, wycięte ze starych żurnali, szuka pod szafą talerzy z rzecznych muszelek. Przydałby się jeszcze drewniany malutki czerpaczek. Pamięta, widziała go w szufladzie Kaja.

— Czy mogę sobie pożyczyć na trochę tę drewnianą miareczkę od lekarstw? To będzie taka łyżeczka...

— Jeśli tylko tam jest...

Mea z trudem wyciąga szufladę i szpera gorliwie oglądając wszystko, co jej wpada w ręce.

Czego tam nie ma? Zeschnięta grudka maści ogrodniczej i śrut rozsypany po kątach, pilniki i poszczerbione półkoliste noże, połamane bursztynowe i kościane spinki, czerwona pałeczka laku, diament do rżnięcia szkła, woskowane nici owinięte wokoło niebieskiego bileciku z białym gołębkiem, który w dzióbku niesie czerwoną różę, a na niej widać złote litery: Z. P. Im. A oto coś bardzo dziwnego, czego Mea jeszcze nie widziała: żelazny, gruby pierścień.

Próbuje wsunąć go po kolei na każdy palec. Jest o wiele za duży na jej palce. Mimo to Mea z błyszczącymi oczami prosi żarliwie Joannę.

— Ja to sobie wezmę, dobrze?

Ale Joanna odmownie potrząsa głową:

— Połóż go. Niech leży tam, gdzie leżał.

— Potrzebny?

— Nie. Ale nie trzeba tego ruszać.

— A czyje to? Kaja?

— Nie Kaja. Dziadka Sotera.

— Tego dziadka, co mieszkał w takim młynie pod gajem? Tam, gdzie wrony łapały pantarki, a mamusia była mała i pilnowała tych pantarków?

— Nie. Tamten dziadek nazywał się Kasper. Jużem ci tyle razy to powtarzała. I umarł zyczajnie, własną śmiercią, na czarną krostę. A tego dziadka Sotera, rodzzonego brata dziadusia Jana, zabili w piecu.

— Gdzie?

— W piecu, w cegielni. Bo tam, po rozbiciu partii, trzech ich się schowało. Mówił mi chyba ojciec o tym? To było wtedy, jak babcia Cezaryna ważne papiery do lasu przenosiła zaszyte w listwie spódnicy.

— Jakich trzech?

— No, dziadek Soter (miał wtedy lat dziewiętnaście) i jeszcze jakichś dwóch powstańców.

— Ale kto zabił?

— Któż by? Moskale. Ale wydał Moskalom Polak, mleczny brat dziadka Sotera, Alojzy Gumpiarz.

— A jak ich zabili?

— Jak ich mogli zabić inaczej, kiedy nie chcieli wyleźć z pieca? Zadźgali bagnetami. A potem powiesili, ale nieżywych już, na stawidle nad glinianką. Zasuń no szufladę, bo wyleci. I rób ten balik dla lalek, jak masz robić, będzie mi niedługo spodek spod miodu potrzebny.

Mea zasuwa szufladę. Już zapomniała o drewnianej miareczce. W zamyśleniu zanurza raz po raz palec w spodku z miodem i oblizuje go przed samym nosem usadzonych w koło papierowych lalek.

Dziwna postać dziewiętnastoletniego dziadka skryta w czeluści cegielnianego pieca kiwa na nią z kąta izby palcem w żelaznym pierścieniu.

Mea szybko przelyka ostatnią kroplę miodu. Gorzka!

Żegna się i odmawia rodzinną modlitwę:

„Wieczne odpoczywanie racz Panie dać babuni, dziadziom, ciociom, stryjkowi i wszystkim krewnym i powinowatym, a światłość wiekuista niechaj im świeci. Amen“. —

Potem z rękami lepкими od miodu wybiega na zadeszczony ganek.

Wspina się na mokrą poręcz i trzymając się oburącz słupa patrzy pilnie ponad drzewami. Stąd widać dach tego „kazionnego“ domu, który ma nad drzwiami namalowanego na blasze czarnego orła z dwoma łbami i obce, czarne litery, które znaczą „poczta“.

Mea spogląda groźnie w trzy dalekie, oświetlone okna:

— Żebyś zdechł — mówi. — Żebyś zdechł — powtarza. — Żebyś zdechł.

W słoneczne, ciepłe jeszcze popołudnia wszystkie dzieci schodzą się nad rzeką przy stoku. Tutaj budują domy i ogrody z piasku. Tu robią z mu-

łu czarne murzyńskie masło i sery układane na chrzanowych liściach.

Tu zakasawszy się do pasa brodzą po płytkiej wodzie szukając uporczywie rzadkich skarbów w postaci szklanych skorup, zamulonych guzików i przegniłych deszczulek przechowywanych w beku przez złośliwe Wodne Baby.

Nad rzeką pojawia się czasami chłopiec w chesuczowej koszuli, zapiętej na ramieniu i wyrzuconej na długie granatowe spodenki.

Staje z boku i patrzy na dzieci wielkimi czarnymi oczami spod nisko przyciętej czarnej grzywki.

Jeśli dzieci budują ogród z piasku, próbuje podrzucić im wyszukane przez siebie gałązki na „drzewo“, gdy robią „masło“ własną okrągłą granatową czapeczką z fruwającymi wstążkami przynosi im do dołków wodę z rzeki... Kiedy się ściągają, biegnie równolegle do nich i zachęca okrzykami tych, którzy są pierwsi.

Jego matka jest tutejsza, z Żeleźna. Ale on nazywa się Kola, nie Mikołaj. Kola Gierasymow.

Dzieci odwracają się do niego plecami. A jeśli on ośmieli się podejść blisko—dzieci głośno pytają się siebie nawzajem:

— Nie wiesz ty, co tu tak zaśmierdziało?
I odpowiadają sobie jeszcze głośniej:

— Naturalnie, dziegieć!

I dobitnie pouczają siebie samych:

— Przecież każdego Moskala czuć dziegciem.
Kola czerwieni się aż po grzywkę i odchodzi.

Ale nazajutrz znowu jest nad rzeką. I znów czarnymi oczami patrzy na gromadkę bawiących się dzieci.

Zniecierpliwiło to Meę:

— Ja mu powiem!

I powiedziała.

Podeszła do niego, gdy stał tak i patrzył, a miała właśnie w ręku małe blaszane wiaderko.

Myślał więc, że chce, aby jej zaczerpnął wody (widział, że chłopcy tak robili dziewczynkom, które bały się wchodzić głębiej w rzekę, żeby nie zamaczać sobie majtek) i — uszczęśliwiony, wyciągnął rękę. Ale Mea cofnęła za siebie wiaderko i powiedziała dobitnie:

— Idź sobie stąd, ty Moskalu. Wynoś się z naszego piasku, z naszej rzeki.

Za chłopcem stała jego matka, której Mea nie zauważyła. Teraz nagle zobaczyła tuż przed sobą jej twarz skurczoną i bladą, jej oczy białe od łez i wyciągnięte ręce, którymi pochwyciła, uniosła w górę i przytuliła do siebie chłopca.

— Kola, Kola! Syneczku... Mikołajku!! — i całowała go po oczach, po włosach, po twarzy.

Ale chłopiec odpychał ją z całych sił i znad jej ramion patrzył wciąż na Salomeę swymi wielkimi, żalnymi oczami.

Odwróciła się mała Salomea. Odrzuciła daleko od siebie blaszane wiaderko. I odeszła od dzieci, od piasku, od rzeki, zapomniawszy spuścić zakasaną sukienkę na mokre, gołe kolana.

SADOWNICY

Nie była ładna. Miała zrośnięte palce u rąk. Szpecił ją brak nosa. Żółty kok porcelanowych włosów sterczał śpiczasto nad czołem, a był tak śliski, że nie można było włożyć jej na głowę żadnego czepka. Nie mogła też ni stać, ni siedzieć o własnej sile. Do tego nazywała się Mitka... Tak ją ktoś nazwał kiedyś i już zostało.

Mea nie bawiła się nią odkąd dostała od ojca nową lalkę — golaska z celuloиду.

I właśnie gdy z tym nowym golaskiem przechodziła koło sadu, podeszła do niej do samego płotu chuda, z ogromnym brzuchem i podkasaną z przodu spódnicą Szyina.

Ukloniła się małej Salomei jak dorosłej osobie i powiedziała: — Cy, cy, cy! jaka to lalka! Co to za lalka! Co to za tatuś i mamusia Mejci! Mejcia siedzi w samym środku szczęścia. Daj Boże zdrowie mamusi i tatusiowi!

Zaczęła ucierać nos, zaczęła poprawiać na ostrzyżonej głowie brudny okrągły czepek. I za-

raz opowiedziała Mei wszystko o swoich dzieciach.

Że jest ich ośmioro. Że dziewczynek takich jak Mea jest dwie. Że one także lubią, że one bardzo lubią lalki i ciągle ją proszą: „mamele“! i „mamele“!, a skąd ona może im wziąć lalkę? Niech Mea sama powie skąd? Więc czy nie podarowała-by im tamtej, starej?

I Mea bardzo czerwona powiedziała, że... że spyta w domu.

Na drugi dzień szła z Mitką do sadu, do tych Szyinych dziewczyn.

Buda sadownicza stała blisko wejścia, przy ścieżce. Obok na gałęzi wisiała waga: cynowy talerz z kantarkiem. W małym dołku wygrzebanym w ziemi leżały poosmalane gałązki chrustu, przewrócony żeleźniak ze smugami wykipiałej i przyschniętej na nim cieczy i skorupa z dużego glinianego garnczka, a na skorupie kilka odebiałych ziemniaków.

Nad tymi ziemniakami siedział chłopak. Nie jadł, tylko ich widać pilnował, bo zaraz zastawił ręką od Mei.

Miał na sobie sięgającą mu niemytych pięć męską koszulę całą w dziurach.

Dziewczynka przyjrzała mu się z zainteresowaniem, bo chłopak nie był podobny do zwyczajnego żydziaka: pół twarzy, górę, miał zwyczajną, piegowatą, ale dół policzków i brodę — sino czerwone, a dolna warga, ogromna i wzdęta, zwisała jak kawał surowego mięsa.

Mea odsunęła się trochę.

Trzeba było jednak skończyć tę sprawę z Mitką, więc zapytała o Szyinę, ale chłopak wytrzeszczył na nią oczy i nic nie odpowiedział.

Wobec tego obeszła go odważnie i sama zająrzała do środka budy.

Ciemno tu i prócz przejmującego odoru cebuli czuć zbutwiałą słomę i fermentujące zgniłe owoce.

Dziewczynka ciekawie wsunęła się głębiej.

Całą budę zajmował właściwie kopiec otręsionych, poobijanych jabłek. Po wierzchu tego kopca lazło roczne może dziecko, gołe, tylko w mokrym śliniaku pod brodą. Dwoje trochę starszych w zeszywniałych od brudu barchankach na próżno starało się zgarnąć z powrotem na kupę jabłka, które się z hurkotem toczyły spod tamtego. Trzecie obojętnie załatwiała się w kącie jedząc jabłko.

Mea z całych sił przycisnęła do siebie lalkę: nie, nie! Ale oto już za Meą stoi Szyina i lalka z rąk Mei przechodzi sama w poplamione piegami ręce sadowniczki, a z nich w chwytkie palce rudego stworzenia, które od razu ginie w zielsku za budą.

Nie wiadomo dlaczego serce Mei bije tak głośno, że dziewczynka wcale nie może dosłyszeć, co do niej mówi Szyina w przekrzywionym bardziej niż zwykle czepku na ostrzyżonej głowie.

Odchodzi Mea prędko, prędko, jeszcze prędzej! Biegnie pędem, żeby już uciec.

Lecz przy furtce dogania ją to samo rude stworzenie. W brudnym podółku podkasanej bar-

chanki ma garstkę węgierek. Zerwane w skrytym pośpiechu pełne liści śliwki natrętnie a bojaźliwie tka Mei w ręce.

— Na, na! — i uskakuje w bok, w gęste łopiany, a spod pachy wystaje jej płócienna ręka Mitki o zrośniętych palcach żałośnie wygiętych w stronę Mei.

Teraz z kolei Mea odchodzi w bok ze ścieżki i — żeby tamta nie widziała, jeżeli patrzy, otrząsa się z tych śliwek w wysoką trawę.

Tej nocy mała Salomea nie może zasnąć. Do małego czystego mieszkania przez zamknięte drzwi weszła lalka Mitka. Na gnących się gałganianych nóżkach podeszła o własnej sile do czystego, ciepłego łóżka Mei i malowanymi oczami z wyrzutem wielkim na dziewczynkę patrzy.

Mea, wstyd przyznać, udaje, że śpi i że tego nie widzi, ale Mitka mimo to mówi:

— Dlaczego oddałaś mnie na zawsze tej żydówce? Gdzie ja tam będę spała w tej budzie na tych jabłkach? I przecież dobrze wiesz, że żydzi Pana Jezusa umęczyli.

Prawda! Prawda!

Pod cienką kołdrą Mea okrywa się potem.

— Pójdiesz teraz do piekła. Do piekła pójdiesz — mówi Mitka.

Prawda! Prawda!

Mea ze strachu chowa głowę pod kołdrę, ale pod kołdrą jest jeszcze straszniej, więc znów wysuwa głowę.

Ach, czemuż się właśnie pokazała!

Czołem przy samym czole oczy w oczy, stoi już nie Mitka, a ruda brudna żydóweczka w kusej barchance. Schylona nad Meą mówi:

— Dlaczego ty rzuciłaś te śliwki, co ja ich tobie dałam?

I Mea widzi to: ona płacze.

Więc Mea płacze z nią także.

I nic już nie może być straszniejszego, bo przecież na ścianie nad Meą wisi Pan Jezus, ten sam, którego ci sadownicy umęczyli. Wisi na ścianie i patrzy na niewierną Meę i — także płacze.

*

Pierwsze jesienne chłody zjawiają się czasami na krótko w samym środku lata.

Są dziwnie przykre te dni niepogody.

Pada deszcz niewidoczny prawie, drobniuteńki, jak mgła, Jest bardzo zimno na dworze i jeszcze zimniej jest w domu. Na ścianach wilgotny chłód szkli się jak zamróz. Omiękła zieleń liści wygląda jak zwarzona przymrozkiem. Wiatr hu-czy i zgina gałęzie, z których sypią się popsute, robaczywe owoce.

Mea w kubraczku oszytym skrawkami popielic, w grubych włóczkowych pończochach maszeruje skrajem błotnistej drogi.

Matka kazała jej zrobić taki spacer dla zdrowia: prosto drogą do zakrętu i z powrotem.

Idzie chętnie. Jest ciepło ubrana i wiatr popycha ją z tyłu — to przyjemnie.

Idzie dalej jeszcze niż kazała Joanna: dochodzi do płotu, który grodzi sad od drogi. Tutaj kil-

ka desek jest wyjętych w płocie, tedy ludzie skracają sobie drogę do sklepów i do kościoła.

Mea wchodzi tedy, jak wszyscy.

Dzika, wydeptana na przelaj ścieżka mija zaniedbaną kwaterę malin i biegnie dalej bezczelnie koło samej budy sadowników. Już jakoś nie wypada zawracać. Mea ostentacyjnie macha rękami i nonszalancko potrącając odpadki leżące na ziemi idzie prosto na budę.

Od kilku sezonów nie poszywana na nowo, rozpada się teraz w niepogodę słomiana buda na zbutwiałe splachcie, na mokre, szeleszczące pasma. Przez wielkie szpary siąpi deszcz cienki jak mgła i grubymi kroplami spływa po przeświecających spod poszycia gołych żerdziach.

Pod mokrą słomą na mokrej słomie siedzi cała rodzina Szyjów, przytulona do siebie jak stadko zmokłych kur gołoszyjec.

Stary Szyja z zaropiałymi oczami, chłopak z odpadającą wargą czerwoną jak surowe mięso, Szyina z brzuchem podchodzącym jej już pod same piersi i kupa młodszych dzieci.

Przed nimi w dołku leży spora wiązka chruszu, na niej ustawiony saganek pełen odpadków słodkich gruszek zalanych wodą na garus i drugi saganek pełen mleka. Obok leżą trzy wypaproszone rybki, nadziane na patyk.

Oczy skulonych, zziębniętych dzieci biegają łakomie od rybek do saganków, od saganków do rybek. Zapadłe sine policzki przebiega drżenie głodu. Nie często w sadzie trafia się taka uczta.

Oczy Szyiny natomiast ścigają niepokojnie każdego przechodzącego. Jest Szabas. Deszcz za-
lał przez noc wczorajszy żar pod popiołem w doł-
ku. Od wczesnego rana siedzą tu wszyscy nad ob-
fitością zimnych saganków, od rana pożerają
głodnymi oczami surowe rybki na patyku.

Teraz jest już pierwsza, a może trzecia po
południu.

Szyina patrzy na rozpalone oczy dzieci, na
przymknięte powieki starego Szyi. Dwie ceglaste
plamy wystąpiły jej na piegowatych policzkach,
czarna szabasowa peruka zsunęła się w tył z ru-
dej nagiej głowy. Mimo przejmującego zimna pot
występuje na kościano - żółtych skroniach. Ach,
żeby straszliwy grzech niezachowania Szabasu za-
szkodził jej samej tylko, zaraz by tu trzeszczały
skrami gałązki i ciepły tłusty kopeć lizałby sagan-
ki, a na rozpalonych węglach skwierczałyby rybki.

...Ale jedna ciepła, jasna iskra, która z jej rąk
upadłaby dziś na chrust, odsunie na rok, na dzie-
sięć, na sto, na tysiąc lat przyjście Mesjasza! I ni-
gdy Izrael nie ujrzy swego wybawienia...

Dziką, na przełaj wydeptaną ścieżką przecho-
dzą koło budy sadownika goje: kobiety i mężczy-
źni, dziewczęta i wyrostki.

Szyina zbiera na odwagę i jednego z przecho-
dzących prosi cicho o rozpalenie ognia. Wzruszył
ramionami i przeszedł.

Więc z coraz krwawszymi wypiekami na twa-
rzy, coraz natarczywszym głosem zaczęła propo-
nować kolejno następnym garść jabłek, dobrych

jablek,... słodkich... albo gruszek, ma bery... wreszcie... wreszcie całą dziesiątkę!

Przechodzili nie patrząc. Przechodzili śmiejąc się. Przeszli. Nie szedł już nikt.

Wtedy podeszła właśnie Mea. Zęby miała zacisnięte i głęboką dorosłą bruzdę pomiędzy wąłymi dziecinnymi brwiami. Szła naumyślnie wolno. Postanowiła:

— Jeśli mnie powie, spróbuję, choć nie wiem jak się to robi. Jeśli mnie powie...

Ale Szyina nic nie powiedziała. Patrzyła przed siebie, patrzyła nawskroś przez stojącą przed nią Salomeę, jakby dziewczynka była szklana, jakby jej tu nie było wcale.

Więc Mea zawróciła z ulgą i stamtąd odeszła.

CYGAŃSKI KRÓLEWICZ

Trzy były w domu rzeczy ze złota: dwie obrączki ślubne, jedna Kaja, druga Joanny, i trzeci krzyżyk Mei.

Wszystkie trzy rzeczy z prawdziwego dukatowego złota. I wszystkie trzy poświęcone.

Skarb.

Mieli go wspólnie we troje i miało go każde z osobna. Joanna szyła w złotej obrączce, ale zdejmowała ją do mycia i do spania. Kaj w złotej obrączce liczył pieniądze w Spółdzielczej Kasie Oszczędności, ale co sobotę czyścił irchową skórą swoją obrączkę, a także obrączkę Joanny.

Mea dniem i nocą nosiła na szyi swój złoty krzyżyk na cieniutkim łańcuszku.

Nieraz w dzień, w czasie najgorętszej zabawy, wsuwała nagle rękę za sukienkę:

— Czy aby jest?

I budząc się w nocy macała pod koszulą:

— Czy nie zginął?

Na krzyżyku wyryty był w złocie łatwo dający się odczytać rok, trudny miesiąc i imię w całej swej uroczystości: Salomea.

Nie można było nie pamiętać, że się ma taki krzyżyk na szyi podczas dnia i podczas nocy, że się go miało od urodzenia, i mieć będzie zawsze.

— A jak ja umrę? — spytała raz kiedyś zaniepokojona Mea.

— Co za pytanie? — zdziwiła się Joanna — naturalnie, że pochowają cię z krzyżykiem — powiedziała spokojnie.

Kaj, który to słyszał, strzepnął palcami, aż brzękła obrączka.

Joanna podniosła głowę znad jakiejś czarnej kamlotowej listwy, od której właśnie odpruwają wysiepaną czarną szczotkę.

— Oh, przecież wiadomo, że wszyscy pomrzemy — i uśmiechnęła się.

Ale Kaj się zachmurzył, chociaż to on zawsze się uśmiecha, nawet wtedy, gdy Joanna jest pochmurna.

Tego dnia w południe przyszła z ostrzeżeniem pani Snuszowa, sama przyniosłszy mleko, po które miała iść Mea.

— Niech lepiej dzieci teraz nie odchodzą od domów.

A za nią pani sędzina.

— Trzeba nam sprawdzić kłódki u komórek, moja pani Kajowo.

I wreszcie samym już wieczorem pan Kaczurba.

— Najlepiej nie wpuszczać za próg, pani Jo-
anno kochana. A zresztą — potrząsnął jej rękę w
obu swoich czerwonych i gorących rękach — niech
pani będzie spokojna! — Co powiedziawszy ze
znaczącym uśmiechem odstąpił o krok, wypiął sze-
rokie piersi, lewą rękę założył za tużurek, a pra-
wą podkręcił do góry obwisłego szpakowatego wą-
sa. — Może pani być najzupełniej spokojna.

Joanna spojrzała przez śliczne rzęsy na sto-
jącego na straży jej progu pana Kaczurbę, spoj-
rzała znad lewego ramienia, na które przechyliła
zgrabnie obciążoną czarnym warkoczem główkę:

— Skoro pan tak powiada, nie wątpię... Mea,
córeczko, podaj panu sąsiadowi krzesło. Wysoko
do nas po schodach wchodzić, a i schodzić nieła-
two, stromo.

Gość zrobił się krwisty na twarzy i usiadł
zgarbiony nagle, ale skwapliwie wziął z rąk Joan-
ny szklanę z herbatą, którą mu po chwili podała.

Pił wolno, z przestankami, delektował się.

Znudzona dziewczynka przyglądała mu się
stanąwszy na przeciwko. Myślała sobie:

— Nigdy nie skończy. Od kwadransa ma ten
jeden łyk na dnie i nie łyka go.

Ale jednak skończył i wyszedł przed samym
przyjściem Kaja.

Joanna wyprowadziła go do ciemnej sieni ze
świecą:

— Poświęcę sąsiadowi na schody. Dziś nów.
Ciemno.

Bronił się:

— Ależ pani dobrodziejko — wpatrzony w jej twarz przez migające, jaskrawe światelko, i mrużył olśnione blaskiem krótkowzroczne oczy.

A wtem Joanna niepostrzeżonym ruchem warg zdmuchnęła świeczkę:

— Dobranoc panu, proszę się kłaniać żonie — i zostawiła go w podwójnej ciemności trzasnąwszy drzwiami.

Stał chwilę ogłupiały, aż wreszcie słyhać było jak zaczął schodzić lekliwie macając laską wąskie stopnie.

Kaj przyszedł nieco później niż zwykle.

— Zagadałem się trochę po drodze — wyjaśnił.

I już usiadłszy do kolacji:

— Rozłożyli się w chłopskim lesie. Duży obóz. Ognie palą. Jakbyście chciały zobaczyć, to teraz widać jest od nas z ganku.

— Kto by nie chciał tego zobaczyć?!

Kaj dopił herbatę; zapalił papierosa i wyszli wszyscy troje na ganek.

— Okryj się — powiedziała jeszcze Joanna do Mei — jesteś już śpiąca, więc będzie ci za chwilę chłodno — i zarzuciła na nią własny szal ciepły od ciała.

Mea owinęła się aż po brodę, nie, żeby się bała chłodu, ale że szal pachniał cały skórą, czy tylko może włosami matki.

Na ganku była ciemność i za gankiem zaraz była ciemność. Ani jednej gwiazdy na niebie.

— Będzie deszcz nad ranem — powiedział

Kaj, którego papieros to zarzył się, to przygasał gwałtownie, aż zgasł całkiem.

Usiedli wszyscy troje omackiem na gankowej ławce.

— O! — w jakiś niewidoczny sposób wskazała w ciemności Joanna. — O! — powtórzyła.

Od razu spojrzeli w tę stronę. Tak, daleko stąd, w chłopskim lesie paliły się ogniska tuż nad samą ziemią.

Mała walczyła ze snem i nastroszona w puchatym szalu jak śpiąca sówka patrzyła pilnie i ciekawie przez opadające raz po raz powieki.

Odległą czerwoną lunę pełgającą przy samej ziemi przekreślały od czasu do czasu maleńkie czarne cienie, nawet z tak daleka podobne do krzątających się ludzi.

— Co oni tam robią? — spytała szeptem mała.

Kaj wykonał jakiś ruch niewidoczny w ciemności.

— Tss — przestrzegła nagle Joanna. I Kaj i mała usłyszeli to samo: daleką muzykę.

Mała natychmiast otworzyła oczy i wysunęła się cała ze spowijającego ją matczynego szala.

Muzyka biegnąca od ogniska, choć tak bardzo oddalona, dziwnie była wyraźna. Szarpała sobą ciemność, potrząsała dźwięcznie tą ciemnością, roztrącała ją i uderzała szybkimi, palącymi, drobnymi dźwiękami prosto w Salomeę jak garściami latających rozżarzonych węgli z przepalonych głowni.

— Tańczą — szepnął Kaj.
Joanna milczała.

Mea bała się, sama nie wiedząc czego. Zapra-
gnęła nagle objąć ojca za szyję. Wyciągnęła po
ciemku ręce i... napotkała na tym miejscu gorące
ramię Joanny.

Skuliła się więc i okryła z głową szalem.

Ale daleka muzyka nie przestawała podzwa-
niać w uszach.

Mea bała się coraz więcej. Spróbowała przy-
sunąć się do kolan matki. Wyciągnęła po ciemku
ręce i napotkała na tym miejscu ciężką głowę
Kaja.

Odsunęła się bezszelestnie na drugi koniec
ławki i płakała bezgłośnie, gorzko bardzo i gniew-
nie w szorstkie wełniane frędzle.

Po długiej godzinie, po mnóstwie długich go-
dzin ktoś się nad nią pochylił, ktoś ją wziął na rę-
ce, ktoś ją niósł jak wtedy, gdy była bardzo ma-
leńka, ktoś ją całował, rozbierał, kołdrą otulał...
Ale Mea nie otwierała łzami sklejonych oczu.

Usnęła zła, pełna ciemnego niepokoju i wy-
rzutów sumienia, rozżalona i zawzięta.

Rano Joanna wstała z obrączką na palcu. Wi-
docznie w niej spała. Nie zdjęła jej też do mycia.

Od rana też Mea strzegła pilnie swojego krzy-
żyka.

I patrzcie! Zaraz po śniadaniu przyszła pierw-
sza cyganka.

Mea właśnie pomagała Joannie zmywać na-
czynia. Trzymała jeszcze w ręku filiżankę, którą
akurat skończyła wycierać, a Joanna miała obie
ręce zanurzone w misce z ciepłą wodą.

Więc powiedziała Joanna do Mei, gdy ta cyganka stanęła w progu.

— Mam mokre ręce, więc weź ty z szafki woreczek z jaglaną kaszą i odsyp jej pełną miarę.

Natychmiast mała z takim pośpiechem postawiła filiżankę, że o mało jej nie stłukła. Żółtej kaszy w miarę nabrała czubato i z oczami utkwionymi troskliwie w osypujący się stożek szła ku cygance. Ta nadstawiła fartuch pod miarę.

Teraz dopiero, po spełnieniu dobrego uczynku, podniosła Mea oczy na cygankę, ale ona mruczając jakieś pewno błogosławieństwo odchodziła już. Więc Mea wyszła czym prędzej na ganek i patrzyła za nią.

Cyganka zstępowała szybko ze schodów. Jej kretonowa w kwiaty, wyburzała na słońcu i deszczach spódnica tańczyła suto na biodrach dokoła wciętej talii. Spod czerwonej chustki wymykały się niesforne pasma włosów gęstych, wijących się, a już siwych.

Cyganicha odeszła jeszcze kilka kroków od ganku i nagle zatrzymała się i odwróciła twarzą do białego domu wysoka, chuda, drwiąco w tył przegięta.

— Kaszę jaglaną cyganom dają! — zaśmiała się szyderczo. — Zapamiętaj sobie jedna z drugą, że cygan to nie dziad po prośbie! Naści wasze dobrodziejstwo! — i ze śmiechem, teraz już wesołym, podrzuciła do góry podółkiem fartucha i rozsiała dokoła siebie po ziemi tę kaszę.

Mea stała na ganku zdrętwiała ze zgrozy: pamięta przecież, jak za tę właśnie jaglaną kaszę Jo-

anna przez trzy długie tygodnie uczyła cierpliwie kroju tępą, zabierając swymi spódnicami pół izby, córkę gospodarską z Gutanowa.

Cyganicha dawno już znikła z drogi, a mała jeszcze stoi.

Po południu tego samego dnia przyszła druga. Była podobna do tamtej, tylko młodsza i ubrana inaczej. Z obu stron miedzianej twarzy zwisały jej czarne warkocze przeplecione gęsto srebrnymi pieniądzmi. Na rękę miała tobolek zastanawiającego kształtu: jakby strucla zawinięta szczelnie w cienką płachtę.

Nie zatrzymała się w progu, ale podeszła do samej maszyny Joanny i nim Joanna zdążyła swoim spokojnym słowem osadzić ją przy drzwiach, cyganka lewą ręką przyciskając konwulsyjnie swój tobolek prawą wyciągnęła z rozpiętego na piersiach kaftanika duży kawał zmiętego niebieskiego aksamitu.

— Uszyjcie z tego sukienkę dla rocznego dziecka. Zaraz. Ja poczekam. Już bądźcie tak do brzy i uszyjcie — wypowiedziała jednym tchem i wcale nie prosząco. Ale było w jej gwałtownym szorstkim głosie coś, co zaniepokoiło małą Salomeę, a Joannę powstrzymało od pokazania drzwi zuchwałej cygance.

Spojrzała Joanna na twarz tej kobiety jakby zastygłą, na oczy błyszczące a zadymione łzami i — przypatrzyła się uważniej, badawczo sztywnej popłużonej kukielce zawiniętej w cienką płachtę.

Powiedziała cicho Joanna do tej cyganki:

— Usiądźcie sobie. Nie będzie trzeba przecież tego wykańczać tak, jakby dziecko w tym miało jeszcze chodzić, więc mi to dużo czasu nie zabierze.

I w niecałą godzinę skroili i sfastrygowała sukienkę z niebieskiego aksamitu dla rocznego dziecka.

Tymczasem Mea wyszła sobie była z mieszkania, bo miała przyobiecane klocki od stolarza na dole.

W stolarni przy sobocie kończyli wcześniej robotę i czeladnik z chłopakiem zabierali się do wyjścia. Tylko stary Rapał heblował coś jeszcze na mniejszym warsztacie pod oknem.

Mea z uciechą brodziła wśród świeżych wiórów po grubej warstwie trocin i pilnie szukała odpiłowanych, gładkich kawałków drzewa, nadających się doskonale do budowania.

Miała już ich różnych ze dwanaście, gdy w stolarni zjawiała się ta sama cyganka ze srebrnymi pieniędzmi w czarnych warkoczach ze sztywnym zawiniątkiem na ręku.

— Już jest sukienka — powiedziała — teraz tylko trumienka. Nie duża. Tyla.

I położyła sztywne, podłużne zawiniątko na warsztacie przed stolarzem.

— Poszła won! — wrzasnął Rapał, ale nie ośmielił się dotknąć zawiniątka.

Cyganka nie poruszyła się nawet:

— Zaczekam. Tylko żeby na białą malowaną i z galonem.

— Poszła won stąd — powtórzył stolarz.

— Żeby biało malowana — mówiła dalej cyganka patrząc nie na stolarza, ale na leżący przed nią przedmiot.

Na jej miedzianą twarz wystąpiły rdzawe rumieńce i wszystkie srebrne pieniądze dźwiękły w warkoczach.

— Nie cyganiak zwyczajny, królewskie dziecko!

Stolarz spojrział na nią uważnie i cmoknął grubymi wargami. Był już spokojny.

— Ile dasz?

Mała słuchała z kąta, jak się kłóćą grosz za grosz. Wreszcie cyganka wyplotła jeden po drugim srebrne pieniążki z lewego warkocza, a potem z prawego warkocza.

— Stolarz liczył: — Mało.

Zakłęła się, że nie ma więcej. Na świadectwo wywróciła kieszenie, rozerwała koszulę na brunatnych piersiach, wreszcie jakby to miało ostatecznie przekonać stolarza, jednym szarpnięciem rozwinęła tłomoczek.

Zobaczyła Mea leżący na warsztacie chudy, bosy trupek cyganiątka w śmiertelnej sukience z niebieskiego aksamitu.

Stolarz wzruszył okrągłymi plecami, skrzywił się:

— Co mnie to obchodzi. A zresztą, cygan. Pogańskie dziecko. Grzech takiemu pogańskiemu podrzutkowi chociaż i za pieniądze chrześcijańską trumnę robić! Tfu, nie będę! — i splunął soczyskie na wióry przez trupka.

Cyganka zamilkła nagle, z opadłymi wzdłuż ciała rękami stała i spod rozczochranych włosów tępo patrzyła na brudne, zakrzywione bose paluszki wyglądające spod niebieskiego rąbka.

Wtedy to wyszła z kąta mała dziewczynka i śmiało podeszła do warsztatu. W zaciśniętych palcach trzymała zdjęty z szyi swój poświęcany złoty krzyżyk od chrztu świętego.

Razem z łańcuszkiem położyła go na zapadniętym brzuszku małego cyganiątka.

SZOPKA ADACHA

Był mały jak dziecko i czarny. Nazywał się Adach. Mieszkał w lesie, dokąd wracał po nocy. To było wystarczająco straszne, żeby żelezieńskie dzieci bały się go i uciekały od niego przez jedenaście miesięcy w roku.

W dwunastym miesiącu następowała przemiana. Tym miesiącem był grudzień.

Wtedy Mea pytała chłopców z sąsiednich mieszkań:

— Widzieliście Adacha?

Kacperek, Melch i Baltuś kiwali przeciętnie głowami i szeptali:

— Zdaje nam się, żeśmy go zobaczyli, ale „zza bardzo daleka“... — Potem umawiali się we czworo w wielkiej tajemnicy, jakby go zobaczyć z bliska? „z jak najbliżej“?

Co jednak było łatwe w lecie, teraz, zimą, stało się nie do wykonania. Dzieci mogły tylko wyglądać oknami w daleką stronę zaszypanego śnie-

giem lasu i czekać cierpliwie czy Czarny Adach sam nie przyjdzie.

Nie przychodził.

Od tego czekania bez końca dzieci robiły się niecierpliwe, złe.

Nagle jakiegoś wieczoru pojawiały się w domach zielone drzewka. Jedna choinka wysoka i rozłożysta wyrastała na jednym końcu domu w mieszkaniu Kasperka, Melcha i Baltusia, druga, maleńka, na drugim końcu domu, w mieszkaniu Salomei.

Dzieci przeprowadzały pilnie porównania biegając z zapalem od jednej choinki do drugiej i trzaskając nieomkniętymi drzwiami puszczały zimno na delikatne strucle z makiem.

Teraz już było wiadomo, że Adach jest blisko. Świeczki paliły się na obu choinkach i szepleniły żółtymi języczkami: Pst, pst! I Mea nasłuchiwała czy Czarny Adach już idzie...

Dorośli tego wieczora byli jak dzieci, gryźli orzechy, całowali się i nikt nikomu nie groził spaniem, choć wszystkim zaczęły się kleić oczy. Dorośli także, widać, czekali na Adacha.

— Ale co będzie, jak on nie przyjdzie? — pyta nagle Mea.

Zupełnie nie wiadomo, co będzie.

Raptem wszyscy naraz wiedzą, że on już jest tam w sieni.

Joanna zarzuca chusteczkę ze swych pleców na małą Salomeę i Mea przydeptując frędzle wybiega pierwsza do sieni. Wbiegają i chłopcy. Za nimi niańka Baltusia, Marcela.

Przy progu sień jeszcze jest sienią, nawet pali się w niej mała naftowa lampka na okopconej belce. Ale już trochę dalej sień jest czymś innym—to królestwo Czarne go Adacha, jak on czarne.

Dzieci stłoczyły się w milczącą gromadkę. Nie boją się, bo nie mają czasu na strach, myślą z pośpiechem, który napędza krew do uszu:

— Co teraz będzie?

A czarny Adach po prostu, zwyczajnie robi czary: zaczerniał na chwilę w najczarniejszym kącie, zaszurał, zamamruczał i — znikł raptownie.

Tam, gdzie przed chwilą był Adach, stoi budynek świetlisty, kolorowy, jarzący!

Teraz już jak z płotka za pierwszym czarem idą następne czary i prędko, prędko przesuwają się przed dziećmi.

Już wiadome jest dzieciom dlaczego Czarny Adach mieszka w lesie, sam i nawet w nocy. Skądżeby wziął ten cały tłum małych istot: czarownic, diabłów, wojaków? Łowił je nocą w spróchniałych dziuplach, w kwitnących paprociach, na nowiu. Łowił, a może zaklinał? bo są tu i zwyczajni ludzie, tylko mali jak dłoń: dziaduś, żydek, krakowianka, pastusi. I wszyscy tańczą jak on im zagra.

Oto w pełnym blasku kręci się śliczna w zielonej spódniczce Małgorzatka, co to:

*„za lasami, za górami
tańcowała z uzarami...!”*

Mea widzi, jak do tej ślicznej Małgorzatki

„przysed ociec

przysta matka“ — i proszą:

*„pódzi do dóm, pódzi do dóm,
Małgorzatka!”*

Ale Małgorzatka nie chce iść do domu: śpiewa:

*„nie póndę ja! Idźła sami,
wole tańczyć, wole tańczyć*

z uzarami...”

i tup, tup, tup, zabiera się do tańca, ale nim raz się obróciła, już ją porywa jakaś siła. Zamiast Małgorzatki biega teraz gruba Kądzielichna z war-koczem do ziemi. Kądzielichna biega w kółko, za nią drepcze krakowiak w kierezji, za nimi oboj-giem coś śpiewa:

*„a ta moja Kundzielichna za piec,
a za moju Kundzielichnu ładny chłopiec
hec, hec”.*

I — hec, jak skoczyli oboje, tak znikli.

Ale dzieci nie mają czasu martwić się tym, bo pojawił się właśnie dziwny brunatny człowieczek ze skrzynką na plecach i krzyczy:

„Olejki! Prolejki!” —

Niańka Marcela plasnęła w ręce, piszczy:

— Węgier kusy, długie usy!

A Węgier zawstydził się, myk! — i już go nie ma.

Teraz raz wraz zjawia się przed dziećmi ktoś nowy, pokazuje co umie i znika. A dzieci zanoszają się ze śmiechu, tupią, klaszczą: — Jeszcze, jeszcze!

Niezmordowany czarodziej robi czar za cza-rem, ale czyni to coraz prędzej i dzieci czują, że zbliża się koniec.

Oto już:

*„Descyk pada,
słońce świci,
carownica
masło klici!”*

Klici, klici w prawdziwej maśnicy, czarnym łbem
rozczochronym trzęsie, złe zaklęcia mruczy, ale

*„organista wziun gromnice,
diabeł porwał carownice!”*

Prawdziwy diabeł, taki sam czarny jak go ma-
lują! To było straszne.

Ale jeszcze straszniejsze było, kiedy po króla
Heroda Śmierć przyszła.

Chuda była, biała była, jasnokoścista.

Krzyczała, piszczala, że ona jest „kostucha,
której się wszystko słucha“. Machała ostrą kosą
nad głową Herodowi i chępliwie dzieliła się z
diabełem:

*„twoja dusa,
moje ciało,
bo mi się tak spodobało.”*

Kasperek, Melch i Baltuś ucichli i już nie kla-
skali, gdy kosa Śmierci zawadziła o głowę Heroda
tak, że głowa zawisała tylko na cieniutkiej żyłce.
Mea zamknęła oczy.

A wtem słysząc cienki, przeraźliwy pisk Mar-
celi — to Śmierć, skosiwszy głowę Herodowi, tak
się rozzuchwaliła, że zaczęła sięgać kosą z szopki
do ludzi.

Dzieci z krzykiem cofnęły się za niańkę, do
drzwi. Śmierć sięga za nimi! Już, już dosięga ko-
są Mei... i nagle — nie ma jej. Znikła!

Wszystko znikło: i ta Śmierć, i budowla cała zaklęta, i blaski, i śpiewy, i granie.

W najciemniejszym kącie sieni stoi Czarny Adach z tobołem na plecach i kończy mamrotać swoje zaklęcia.

Wszyscy są uratowani!!

Pierwsi spostrzegli to chłopcy i zaraz zrobili się bardzo odważni.

— Ja bym się Śmierci nie dał — oświadczył Kasperek.

— I ja nie — ręczy Melch.

— Ja bym ją jeszcze nabił.

Mea nic nie mówi. Myśli ciężko. Czy ta udana śmierć była prawdziwa? Skakała, mówiła, miała kosę i tą kosą Herodowi skosiła głowę tak bardzo naprawdę, że głowa spadła... Teraz zabiła złego Heroda, ale Mea wie, że Śmierć każdego może zabić!

Więc... czy aby Adach dobrze tej Śmierci pilnuje? Niechby mu tak uciekła...

A Czarnego Adacha dawno już nie ma w sieni. Tylko drzwi niedomknięte chwieją się jeszcze za nim i przez szparę wlatuje z ganku biały, cieniutki śnieżek.

Widzi to Marcela i wielkimi krokami idzie drzwi zamykać! Idzie i raptem jak nie skoczy z wrzaskiem:

— O rety!

Ale się zaraz roześmiała głośno:

— Bogdaj ją, jak to mnie przelękła!

— Co? kto? — dopytują się ciekawie przestraszone dzieci.

— A ta Śmierć, psiapara — powiada Marcela i potraça końcem trzewika coś, co leży przy progu na podłodze.

— Śmierć? — nie dowierzają dzieci i cisną się do Marceli, żeby zobaczyć!

Przy progu, na zabłoconej podłodze leży mała szmaciana kukła. Do szmacianej rączki ma przyszytą blaszaną kosę.

— Cha, cha, cha! — śmieją się chłopcy i odbiegają z lekceważeniem. Marcela jeszcze wcześniej odeszła. W sieni zostaje tylko mała Salomea i kukła - Śmierć.

Mea patrzy ukradkiem na lampkę naftową na belce, czy przez ten czas nie zgaśnie?

Lampka mruga zachęcająco.

Patrzy dziecko na Śmierć - kukłę. Śmierć - kukła leży bez ruchu. Biała, chuda, jasnokoścista. Nieruchoma blaszana kosa połyskuje sino.

— Przyczaiła się — myśli Mea.

I myśli jeszcze dodając sobie odwagi: — Ona jest przecież zaklęta przez Adacha —. Choćby tak nie było, mała Salomea i tak wykonałaby to, co robi w tej chwili: Schyla się, a włosy wstają jej na głowie! chwyta Jasnokościstą, ściska ją z całej siły i wybiega pędem przez zaśnieżony ganek na dwór.

Na dworze mróz i noc. Kurniawa. Mea nie widzi tego i nie czuje. Kłeka za węglem domu i jedną ręką wciąż ściskając Śmierć drugą kopie dół w śniegu.

Zmarznięty jest śnieg. Zmarznięte są palce. Długo trwa straszliwe kopanie.

— Nareszcie!
Dziecko wpycha śmierć do głębokiego dołka 9
i prędko, prędko, starannie zasypuje śniegiem.
Skończone.

Nieświadomym ruchem dojrzałego człowieka
ociera mała Salomea kroplisty pot z czoła.

W tej chwili nie pamięta, że przyjdzie odwilż
i stopi śnieg.



5837/37